

W małym miasteczku Pecan Hollow, ukrytym wśród rozłożystych
orzeszników, niełatwo jest schować swoje sekrety

CIENIE PECAN HOLLOW

CAROLINE FROST



CAROLINE FROST

**CIENIE
PECAN
HOLLOW**

PRZEŁOŻYŁA
Anna Sauvignon



TYTUŁ ORYGINAŁU:
Shadows of Pecan Hollow

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik
Wydawczyni: Joanna Pawłowska
Redakcja: Ewa Kosiba
Korekta: Małgorzata Denys
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcia na okładce: © NatKum; © rasica / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

SHADOWS OF PECAN HOLLOW
Copyright © 2022 by Caroline Frost

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Anna Sauvignon, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2023
ISBN 978-83-8321-349-1

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



PROLOG

ROUND TOP, TEKSAS, 1976 ROK

Młoda kobietę obudził szczełk nożyczek. Mruganiem spędziła z oczu woal snu i przekręciła się w skłębionej pościeli na powitanie. Miała nie więcej niż dziewiętnaście lat, lecz bruzda między brwiami i matowa cera zdradzały niełatwą młodość.

Siedział nagi przy oknie obok stosu gazet i ciał pracowicie. Światło spływające po gładkich ciemnych włosach rozlewało się na powierzchni jego ramion i na czubkach kolan, lecz pochylona twarz tonęła w cieniu.

– Dzień dobry – odezwała się głosem jak chrzęst piachu. Pomacawszy szafkę za czymś do picia, wychyliła resztkę ciepłego dra peppera stojącego tam od nie wiadomo kiedy. – Co to? Mamy kłopoty?

Nie przestając uciskać czarnych rączek długich, ciężkich nożyc, pociągnął nosem.

– Lepiej przyłóż lód.

Dłonią objęła policzek, ciepły i nabrzmiały jak śliwka u schyłku lata. Wystarczyło ścisnąć, by pękł w poprzek aż do ucha.

– Nie boli.

– A powinno – stwierdził dobitnie. – Daję słowo, jesteś popieprzona.

Przyprawił jej siniec poprzedniego dnia, gdy podczas ucieczki w pośpiechu zdusiła silnik. Potężny cios z profilu.

Rozścielił przed sobą wycinki, poodwracał i pociągnął klejem od spodu. W powietrzu rozszedł się od zawsze lubiany przez nią odurzający zapach. Złoty medalik, który zwędził zalanemu w trupa facetowi na tyłach nocnego klubu, miarowo uderzał o jego nagi tors z każdym kolejnym ruchem.

– Jeżeli coś wyciekło, lepiej się nie wychylać. Przeczekajmy szum w Luizjanie – podsunęła.

Puścił jej słowa mimo uszu. Ta jego odwieczna buta na granicy prawa musiała prędzej czy później zaprowadzić ich oboje za kratki. Wiedli życie nie do pozazdrosczenia. Głównie pod osłoną nocy, w ciągłym biegu i strachu, że ktoś ich nakryje. Nawet jej już to obrzydło, tyle że nie wiedziała, jak zacząć od nowa i jednocześnie nie stracić mężczyzny.

Wstała i otulona zgarniętym z łóżka prześcieradłem przycupnęła u jego boku. Wciąż pachniało od niego napięciem sprzed kilku godzin – nie poszedł się wykąpać. To był dobry znak. Pysznic zwykle oznaczał, że wybiera się dokądś bez niej. Lecz bił od niego chłód, ta znieawidzona obojętność, gorsza od najstraszliwszej awantury. Tego jednego nie potrafiła znieść i zrobiłaby wszystko, byle go ułagodzić.

Uchylił się przed jej dotykiem. Poczowała pulsowanie w głębi oczu, a trzewia wypełniło jej coś wstrętnego.

– Pytasz, czy mamy kłopoty?

Odłożył nożyczki, przykleił ostatni wycinek do kartonowej podkładki i wręczył jej swoje dzieło. Wśród ciasno ułożonych

skrawków tekstu widniała nieostra fotografia pod nagłówkiem „Duet Texaco przyłapany na zdjęciu”. Kadr przedstawiał dwie zamaskowane postacie w odjeżdżającym mustangu. Pasażer z nogą na zewnątrz niedomkniętych drzwi, za kierownicą kobieta o ciemnych, rozwianych włosach, ze wzrokiem utkwionym przed sobą, a w lusterku odbicie jej oczu.

– Owszem, szczególnie ty.

Zapra gnęła skończyć ze wszystkim w jednej chwili. Błagać go, by się wycofali, zamieszkali gdzieś pod innym nazwiskiem, przygarnęli psa. Mogliby coś wspólnie zbudować, zamiast wiecznie żyć kosztem innych.

Ale nie miała nic do gadania.

Ściągnął z niej prześcieradło, strzepnął je w powietrzu i rozpostarł na podłodze pod oknem. Poczwała nagłe mrowienie zimna na skórze.

Słońce błysnęło w rozwartych ostrzach nożyc u jej stóp. Szybkim ruchem palców kazał jej po nie sięgnąć. Pochwyciła metaliczny zapach, gdy przyrząd zaciążył jej w dłoni.

– Klęknij – polecił, na co osunęła się na podłogę. Znowu skinął i wyciągnął rękę. Złożyła uchwyty na jego rozwarłej dłoni, lecz przytrzymała szpic. Wyszarpnął go z jej uścisku, po czym nabrał w garść kłębowisko jej włosów i zanurzył w nich twarz, oddychając głęboko. Na koniec ściał pasmo po paśmie tuż przy skórze.



CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

PECAN HOLLOW, TEKSAS, 1990 ROK

Cykady jazgotały w koronach orzeszników nad folwarkiem, gdzie Kit Walker przypuściła atak na splątany gąszcz pędów jeżyn, które zuchwale oplotły tylny ganek, wpełzły na balustradę i zasiedliły podest, tamując dostęp do kuchennych drzwi całkiem przesłoniętych kłębowiskiem chaszcy. Kobieta opłukała ramiona z potu i wytarła dłonie o dzinsy. Należało rozprawić się z tym w styczniu, gdy łatwiej było dostrzec kępy pozbawionych liści czerwonych łodyg i usunąć je wraz z włóknistymi korzeniami. Co więcej, oszczędziłaby sobie wysiłku w prażących promieniach słońca i wilgotnym zaduchu ciężkim od woni gnojówki i nagrzanej trawy. Że też wtedy o tym nie pomyślała.

Kit rzadko popadała w zadumę, ale dzisiaj jakieś wspomnienie przysiadło jej na ramieniu, natarczywe i nieuchwytnie niby widmo wrony pierzchającej z szelestem skrzydeł, zanim zdążyła się obejrzeć. Nikłe echo z zamierzchłych czasów, dawno zapomniane, wyparte albo pogrzebane na dnie świadomości. Przetrwanie zawdzięczała skupieniu na tu i teraz, czujnym

rozpoznaniu bieżących okoliczności. Wszelkie plany były bez sensu, skrupuły tym bardziej. Zamiast tracić czas na gdybanie, wolała zawierzyć zmysłom. Można to objąć, rzucić, potrząść albo zmiażdżyć? Wytropić i obedrzeć ze skóry? Czy po włożeniu do ust to pobudzi smak? Nie obchodziło jej nic, czego nie dało się wziąć do rąk lub zarzucić na plecy, co nie miało barwy albo głosu.

Oberwała kiść dojrzałych czarnych owoców i skosztowała soczystej, lepkiej, przepojonej słodyczą mazi.

Z mocnej, krępej postury i twarzy w otoczeniu ciemnych włosów niedbale ściętych na wysokości szczęki Kit przypominała aztecką wojowniczkę, o silnie zarysowanych kościach policzkowych poniżej wąskich oczu o świdrującym spojrzeniu. Jej skórę znaczyła upiorna mozaika żłobień – zaropiałych poparzeń i krwawiących ran na tle dawnych zagojonych skaleczeń, bladoróżowych blizn i zaschniętych strupów. Na wszystkich knykciach jej palców widniały obtarcia, a policzek pod okiem przecinała nierówna szrama w kształcie półksiężyca. Sięgnęła po maczetę wbitą w kopiec grząskiej ziemi i zaczęła trzebić. Para sikorek z furkotem umknęła z ukrytego gniazda, lecz Kit nie ustawała. W miarę jak zatracala się w ferworze pracy, z początku dziobiąc czubkiem, a następnie siekąc po skosie długością całego ostrza, jej umysł stopniowo się oczyszczał. Z bronią lgnącą do dłoni jak przedłużenie ramion wpadła w trans tępienia czegoś zbędnego. Drzazgi i łodyżki przyskały wokół niej, osiadając na podkoszulce i samodzielnie przystrzyżonych włosach.

Z kuchni dobiegł metaliczny terkot telefonu. Aparat odzywał się rzadko, a Kit nie zwykła reagować na zawołanie. „Pal diabli”, pomyślała, dalej młóćąc zaciekle. Dzwonek nie dawał za wygraną, umilkł dopiero po dziesięciu, jedenastu sygnałach.

Wyrznięwszy spory prześwit w krzakach przy ścianie, kobieta odrzuciła wiechę luźnych gałęzi na coraz obfitszy stos chrustu. Żmudne zajęcie wyłuskania pnączy spomiędzy prętów barierki zostawiła Charlie – nie miała cierpliwości do takiej dłubaniny. Gdy parne, wilgotne powietrze jak zupa zaległo jej w gardle, wzięła ostatni zamach, po czym okrążyła piętrowy, pokryty niegdyś białymi panelami dom o solidnej konstrukcji, chociaż niefachowo wzniesionej przez pierwszych właścicieli na początku stulecia.

Odetchnęła z ulgą, przestąpiwszy próg. Wnętrze było wysłuzzone, ale przytulne, doskonałe do towarzyskich spotkań dzięki szerokim drzwiom i korytarzom, rozległym oknom z widokiem oraz przestronnej kuchni wyposażonej w stół i jadalni po sąsiedzku. Pomimo upływu czterestu lat, odkąd tu zamieszkała, wystrój wciąż tchnął obecnością kogoś innego. Nigdy nie miała ochoty ani środków, by dodać coś od siebie, i dobrze się czuła pośród kwietnych motywów na ścianach i tkaninach oraz masy innych babcinych ozdóbek.

Zwilżyła kuchenną ściereczkę pod kranem i z ulgą przetarła skórę na karku oraz wzdłuż kręgosłupa w chłodnym podmuchu zakurzonego wiatraka na kredensie. Wychyliła dwie szklanki wody jedną po drugiej, aż po wrażenie sytości w żołądku, gdy telefon znów się przebudził. „Cholerny intruz”. Kit do tej pory przeklinała wymóg zgłoszenia numeru kontaktowego przy zapisie Charlie do szkoły wiele lat wcześniej. Jej sprzeciw budziło samo założenie pozwalające obcym naga-bywać ją w domu według własnej woli. Najchętniej wyszarpanełaby wtyczkę raz na zawsze, ale na myśl o córce sięgnęła po błękitną słuchawkę wiszącą na ścianie. Po drugiej stronie odkasznęła kobieta.

– Pani Walker? Mówi Lorraine Fowler – zabrzmiał beznamiętny głos dyrektorki szkoły. Kit zwarła się w sobie, przeczuwając nowy wybryk córki oraz późniejszy ciąg nieprzyjemności. Pani Fowler ze świszczącym oddechem czekała na odpowiedź. – Proszę odebrać Charlie. Zdarzył się wypadek.

– Wypadek? – Kit napięła uwagę. – Coś jej się stało?

Charlie lądowała już wcześniej na dywaniku dyrekcji, lecz przeważnie chodziło o wagary lub pyskowanie nauczycielom. Jak dotąd jedyne zajście, które uznano za „wypadek”, dotyczyło jej zawieszenia za szeptanie świństw do ucha kolegi z klasy, choć żadne z nich nigdy nie ujawniło treści. Chłopak tak się przejął, że zwolniono go z lekcji, by doszedł do siebie w domu. Charlie otrzymała tygodniowy zakaz wstępu do szkoły, co żadną miarą jej nie obeszło, za to napsuło krwi Kit, bo od początku okresu dojrzewania kilka miesięcy wcześniej dziewczyna zrobiła się krnąbrna i opryskliwa.

– Bynajmniej, jest cała i zdrowa – odrzekła pani Fowler. – Proszę się zjawić jak najszybciej, szczegóły wyjaśnię na miejscu.

Kit zerknęła na zegar nad kuchenką. Kwadrans po dziewiątej, za czterdzieści pięć minut musi być w pracy.

– Psiakrew.

Pani Fowler wydała pełne nagany chrząknięcie.

– Zatem do zobaczenia wkrótce.

Kit miała serdecznie dosyć ustawicznych ekscesów Charlie. Ciężyły jej nie tyle przewinienia córki – sama dopuszczała się gorszych rzeczy w tym wieku – ile ich następstwa. Skargi oznaczały dochodzenie, spotkania, świecenie oczami. A ona nie życzyła sobie dociekań na temat swojego prywatnego życia.

Ruszyła do wyjścia, gdy telefon rozdzwonił się znowu z tą samą natarczywością. Cokolwiek przypomniało się pani

Fowler, mogło chyba poczekać kwadrans, aż spotkają się w szkole. Będąc jedną nogą za drzwiami, Kit pochwycała pisk i rżenie automatycznej sekretarki – wskrzeszonego rupiecia, który tylko Charlie umiała obsługiwać. Lecz na frontową werandę nie docierał głos dzwoniącego, a zniecierpliwienie nie pozwoliło jej się cofnąć i posłuchać.

Kit zajęła miejsce przed drzwiami biura dyrekcji, pośród ścian upstrzonych tablicami ogłoszeń i radosną twórczością artystyczną. W korytarzu wisiał zapach od dekad struganych ołówków i emulsji do podłóg. Wiedziała, że ma swój udział w kłopotach córki, bo przez czternaście lat ich wspólnego życia nie zadała sobie dość trudu, by wpasować się w tkankę miejscowej zbiorowości. Czasami żałowała, że nie potrafi nigdzie przynależać, ale o ileż łatwiej było pilnować własnego nosa. Ludzie ją przytłaczali. Maniery, obyczaje, ciche komitywy. Jedyne, co udało jej się stworzyć, to ich mały świat, tylko we dwie.

Pani Fowler, cała spowita w beż, z natapirowaną skorupą bladobrazowych włosów przypominającą perukę, stanęła w progu i zmierzyła Kit srogim spojrzeniem.

– Chciałaby pani najpierw się odświeżyć? – W ustach dyrektorki pytania przybierały wydźwięk poleceń.

Kit dopiero teraz spostrzegła makabryczne szkarłatne bryzgi na swoich ramionach i ubraniu, a mogła się jedynie domyślać, jak wygląda jej twarz.

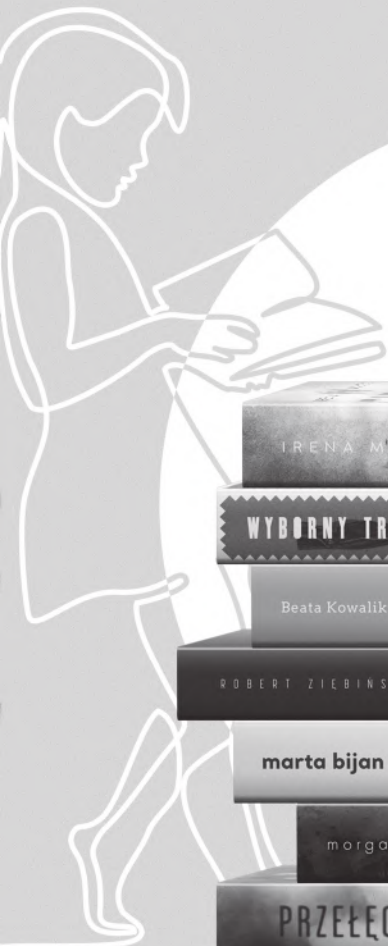
– Wolałabym od razu przejść do rzeczy – odparła.

Mina dyrektorki wyrażała to samo pragnienie. Kobieta gestem zaprosiła Kit do środka.

W kącie przeładowanego pomieszczenia tkwiła Charlie, skrywając pochmurną twarz pod strzechą skłębionych włosów.



HISTORIE WARTE OPOWIEDZANIA



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH



www.mova.com.pl



[wydawnictwo.mova](https://www.facebook.com/wydawnictwo.mova)



[wydawnictwomova](https://www.instagram.com/wydawnictwomova)



Zajrzyj i bądź na bieżąco!